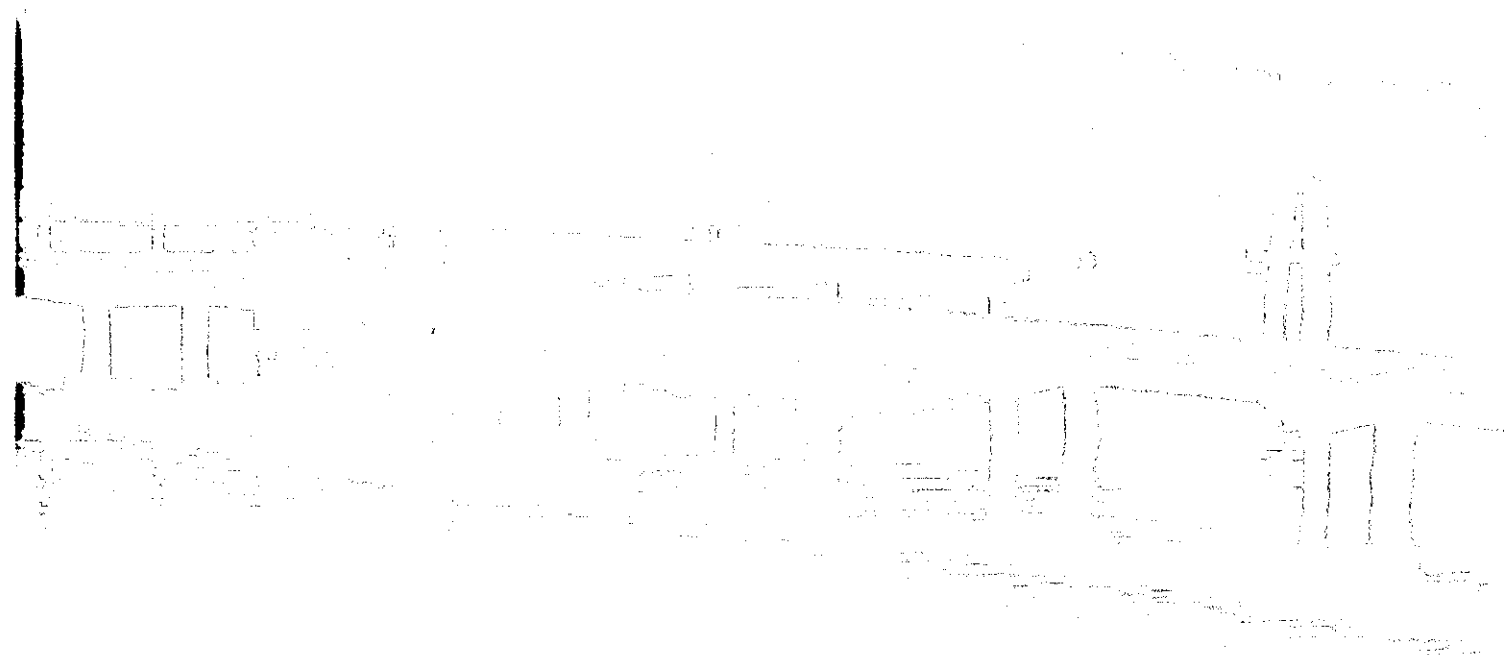


Rozdział 3



Nauka języka na Mazurach

Spotkania w polsko – niemieckim tandemie



Może więcej niż Mazury ...Nie jest przypadkiem, że relacja z projektu mazurskiego nadała tytuł tej dokumentacji i zajmuje jej najważniejszą część. Jest to taka forma niemiecko – polskich i polsko – niemieckich spotkań, która stała się trwała i pozostawia szczególne wrażenie. Mazury są dla wszystkich, którzy tu chociaż raz byli, nie tylko synonimem fascynującego i relaksującego krajoobrazu, ale również doświadczeniem wspólnych przeżyć i nauki, wzajemnego poznawania się i rozumienia, a także inicjowania i rozwijania kontaktów. Gdy po raz pierwszy został zrealizowany pomysł GEW i Sekcji Oświaty i Wychowania NSZZ „Solidarność” z roku 1995 (odpowiedzialna: Joanna Kuryło), był on bardziej eksperymentem z nieznanym zakończeniem. A to, że z eksperymentu rozwinął się model nośny również od strony koncepcyjnej, zawdzięczamy nie tylko profesjonalnym nauczycielkom języka (na początku: Grażynie Balkowskiej, Teresie Rukasz, Annie Wankiewicz, potem również: Agacie Kaszewskiej, Krystynie Klincewicz, Annie Paprotny),

lecz wielu zaangażowanym uczestnikom polskim i niemieckim. Spotkanie było od początku nastawione na zasadę „learning by doing”. Dlatego uczestnicy powinni mieć też możliwość wyrażania swych opinii. Przewidujemy wiele miejsc ich (często nieco skróconym) relacjom. Częściowo są to artykuły napisane do gazet i związkowych publikacji, częściowo osobiste listowne reakcje. Szczególną wartość ma dla nas przedruk pewnej rezolucji na temat problemu wypędzonych – nie tyle z powodów sformułowań, lecz dlatego, że jest to dokument, który dowodzi, że znając się dobrze i umiając się sobie przysłuchiwać można taktownie i ze zrozumieniem obchodzić się z uczuciami, uprzedzeniami i tabu. Nie ma żadnych dokumentów z wielu pojedynczych rozmów, kręgów dyskusyjnych i wieczornych debat na wspólnie wybrane polsko – niemieckie tematy, ponieważ celem tych dyskusji nie było dokumentowanie wszystkiego, ale stworzenie możliwości do słuchania się wzajemnie i tworzenia atmosfery zaufania.



*Joanna Kuryło w
Nowej Kaletce
(Mazury IV)*

Dieter Siems

Jak wszystko się zaczęło ...

Górzec – ta nazwa na zawsze pozostanie w mej pamięci. Nie sądziłem wtedy, jakie skutki może mieć dla mnie przypadkowa znajomość ze Zbigniewem Amerkiem.

Kierował on domem dziecka w pobliżu Wrocławia. W roku 1987 przyjechał z wizytą do Berlina, aby uczniom, ich rodzicom i radzie pedagogicznej mojej szkoły, podziękować osobiście za wieloletnią pomoc materialną dla dzieci. Zaprosił nas, abyśmy przyjechali do Górcza. Wczesnym latem 1989 byliśmy gotowi. Po siedmiodzinnej podróży z długimi kontrolami na granicy z NRD i Polską dotarliśmy w pobliże naszego celu, ale nie znaleźliśmy go. Ludzie na wiejskich ulicach wzruszali ciągle ramionami, gdy wypytywaliśmy o „Górzec”. Dopiero trochę spóźniony pomysł, by pokazać nazwę wypisaną na kartce, natychmiast zakończył się sukcesem: „Ach, Górzec” (sz jak w słowie Garage)...

I w tej minucie powstała decyzja, by przynajmniej nauczyć się wymawiać polskie litery. Z minuty parę lat później zrodziły się godziny, dni, tygodnie nauki.

Od lata 1997 jeszcze jedno miejsce pozostaje trwale w mej pamięci: „Kłobuk”, imię mistycznego ducha, patrona naszej mazurskiej

siedziby. Stało się ono symbolem spotkań z polskimi i niemieckimi nauczycielami, synonimem dyskusji, zabaw, tańców, wykładów, odczytów, pływania, wędrówek – i wciąż uczenia się, uczenia, uczenia. Dobrowolnie. Na wakacjach.

Przyjemność i trud uczenia się tego trudnego języka zawdzięczam przede wszystkim mojej pierwszej nauczycielce polskiego Grażynie Balkowskiej z Wrocławia, która wyjaśniła nam, co to takiego „niebieskie oczy”.

(wrzesień 1999)



Kłobuk – to nieco obco i tajemniczo brzmiące słowo, nazwa miejsca, gdzie odbywają się polsko – niemieckie kursy językowe, dla wielu z nas kojarzy się przecież tak swojsko: z Mazurami, z pełnią lata, z barwnością i ciepłem – zarówno dosłownie, jak i w przenośni. Nic więc dziwnego, że wzbudza radość i ciepło w sercu bez względu na aurę i porę roku, rodzi nadzieję na kolejne spotkanie z przyjaciółmi.

Istnieje z pewnością wiele piękniejszych miejsc i wiele profesjonalnych kursów językowych. Mazurskie spotkania mają jednak w sobie coś niezwykłego, niepowtarzalny urok i wręcz magnetyczną siłę. Kto raz tu przybył, chciałby to powtórzyć jeszcze raz i jeszcze raz...

Wspaniały pomysł Christopha Heise i Joanny Kuryło (obecnie rozwijany przez Beate Więclaw), autorów i organizatorów projektu wakacyjnych spotkań nauczycieli GEW i „Solidarność”, można by porównać do ziaranka trochę nieznanej rośliny, która w odpowiednim gruncie zaczęła rozkwitać i z roku na rok zachwycać coraz bardziej. Tym gruntem jest oczywiście nie tylko piękno mazurskiej przyrody, ale sami uczestnicy kursu. To ich wyjątkowość zadecydowała o powodzeniu projektu, który zaczęli współtworzyć i wzbogacać o nowe pomysły, podejmując inicjatywę organizatorów.

Nawiązane tam przyjaźnie sprawiają, że lato rozkwita czasem nawet we wrześniu, grudniu czy w marcu, że granica między krajami zanika od częstych listów i telefonów, że nauka nabiera sensu, codzienne problemy jakby maleją, a dni nabierają blasku...

A jak to się zaczęło dla mnie? Przypadek czy przeznaczenie? Mój pierwszy raz był równie niezwykły jak nazwa „Kłobuk”. Przeczytałam w gazecie związkowej, że na Mazurach organizowany jest dla nauczycieli wakacyjny kurs języka niemieckiego (wspólnie z nauczycie-

lami z Niemiec). To maleńkie ogłoszenie przykuło moją uwagę. Nie wiem dlaczego, ale pomyślałam wtedy, że koniecznie muszę tam pojechać. Miałam przeświadczenie, że ten wyjazd odmieni moje życie. Ponadto interesowały mnie kontakty polsko – niemieckie w nowej rzeczywistości kraju, no i bardzo chciałam się uczyć. Niestety, termin zgłoszeń już się kończył, a ja byłam wtedy zwykłym związkowcem. Nie miałam szans. Z Komisji jechała jakaś koleżanka, która była członkiem prezydium. Niespodziewany był więc dla mnie telefon i pytanie, które usłyszałam: „Czy to pani chciała jechać na kurs językowy na Mazury?” Prawie zaniemówiłam. Wiadomości były zaskakujące. Dzwoniła właśnie osoba, którą wytypowano na kurs, ale w ostatnim momencie zrezygnowała z wyjazdu, bo spodziewała się dziecka i postanowiła (za zgodą organizatorki) mnie „wysłać” na swoje miejsce. Prawdopodobnie temu właśnie dziecku zawdzięczam mój udział w projekcie...

Tak więc pierwszy raz znalazłam się na Mazurach. Czułam się trochę zagubiona i niepewna z powodu moich niedawnych problemów oraz niezwykłości nowej sytuacji. Z plecaczkiem na ramionach maszerowałam w nieznaną przez dzikie mazurskie lasy. Radość z przyjazdu sprawiała jednak, że nie czułam strachu. Budziła się we mnie energia i rosło zaciekawienie.

Nagle pojawił się samochód, zatrzymał nagle tuż obok mnie i ktoś z przepelnionego wnętrza zapytał ciepłym tonem – „Ewa?” Potwierdziłam zdumiona. Okazało się, że była to Joanna Kuryło, która odgadła bez trudu, że to ja, ponieważ prawie wszyscy byli już na miejscu. Serdecznie mnie powitała i poinformowała, że zajęcia już się odbywają, dlatego musimy się pośpieszyć, a tak w ogóle, to że przybyło wielu uczestników z Niemiec, którzy nie znają języka polskiego i trzeba ich życzliwie przyjąć.

Tak wczułam się w rolę, że gdy tylko dotarłam do „Perkoza”, to pierwszego napotkanego przy recepcji człowieka powitałam oczywiście po niemiecku. Przystojny Niemiec przedstawił się jako Christoph i nawiązał sympatyczną rozmowę po drodze do pokoi. Starłam się być miła i mówić po niemiecku najlepiej, jak potrafiłam. Jakież było moje i jego zdumienie, gdy spotkaliśmy się potem w nielicznej grupie dla zaawansowanych, Christoph okazał się Krzysztofem, a Eva – po prostu Ewą...! Śmiało się głośno z naszej pomyłki. Wkrótce poznaliśmy oczywiście prawdziwych Niemców. Wszyscy uczestnicy pilnie się uczyli, próbowali wzajemnie poznać i znaleźć coś, co łączy, dzieląc się z innymi tym, co potrafili najlepiej. Okazało się wtedy, że moje umiejętności muzyczne bardzo przydały się w grupie. I tak to się zaczęło...! W kolejnym roku było okrutnie deszczowe lato i jedyny cudownie słoneczny dzień na polsko – niemieckie wesele na niby, bryczki i całą imprezę folklorystyczną z polskimi tańcami i jadłem. Tresowany ogier wybrał na parę młodą Achima i mnie... Nałożono nam na głowy wielkie wianki z polnych kwiatów i trzeba było podjąć rolę gospodarzy. Nie mogłam być już nieśmiała!

Potem był Kłobuk z tęczą nad jeziorem, fascynujące kajaki, tańce i praca w tandeniach, znajomości przeradzały się w prawdziwe przyjaźnie, wiele niezwykłych i zabawnych zdarzeń i jeszcze wiele „pierwszych razów”. W tym czasie zdałam 2 ważne egzaminy z języka niemieckiego organizowane przez Instytut Goethego: DaF oraz Zentrale Mittelstufenprüfung, a zaskakująco dobre wyniki były niewątpliwie efektem wspólnej nauki z przyjaciółmi z Niemiec.

Moje życie rzeczywiście się zmieniło dzięki mazurskim spotkaniom, tak jak to przeczuwałam; dzięki ramówce inspirowanej do nauki i wyzwalającej inwencję twórczą oraz dzięki ludziom, których tam poznałam. To nie zna-

czy, że zniknęły wszystkie moje problemy, a język niemiecki opanowałam bez pracy, ale obraz tęczy nad jeziorem i lecących bocianów, smak posiłków i ciepło dłoni przyjaciela zawsze budzą mój uśmiech i dodają energii. Niepoprawnie romantyczne?

O mazurskim projekcie zawsze mówiło się pozytywnie, ale zazwyczaj w szerokim aspekcie współpracy polsko – niemieckiej. Istnieje jednak także jego aspekt emocjonalny, który powiązany jest z ludzką naturą bez względu na narodowość; są właśnie piękne obrazy, wrażenia i uczucia, które w nas zostają niezależnie od tego, ile się nauczyliśmy, czy i w jakim stopniu rozwiązano problemy ekonomiczne!

Czy należy się tego wstydzić? Może właśnie ten subtelny klimat mazurskich spotkań był najtrudniejszy, ale i najważniejszy do wykreowania, by przesądzić o sukcesie projektu? Może jest to właśnie „coś”, za czym każdy podświadomie tęskni?

Szczypta romantyzmu bez wątpienia dodaje smaku i uroku nawet zwykłym dniom. Warto o tym pamiętać!

(wrzesień 1999)

Guten Tag i do widzenia

Nie tylko wiewiórka siedząca nad nami na drzewie, ale również goście hotelowi idący w stronę jeziora ze zdziwieniem kiwają głowami widząc przedstawienie oferowane im każdego ranka. Z troską pytają właścicieli hotelu, czy to czasem nie jest jakaś sekta odprawiająca swe rytuały.

To jasne, że nie często spotyka się Niemców uczących się języka polskiego. Niemcy, którzy przy pięknej pogodzie zamiast w jeziorze zanurzają się w potwornie ciężkiej polskiej gramatyce, wywołują raczej zdziwienie i uśmiech. O ile w Polsce popularna jest nauka języka niemieckiego, języka dużego, bogatego sąsiada, to Niemcom wydaje się absurdem uczenie się właśnie polskiego.

Dlatego pomysł Christopha Heise i Joanny Kuryło, aby członkowie obydwu związków uczyli się nawzajem swoich języków, był ryzykowny.

Na początku wszystko przebiegało zbyt formalnie i nie było możliwości porozmawiania szczerze na tematy polityczne i etyczne. Z czasem stawało się inaczej. Zbliżano się do siebie, rosło zaufanie, dochodziło do politycznych dyskusji o roli kobiety i mężczyzny w rodzinie i społeczeństwie, o celach i metodach w szkole. W czasie tych dyskusji wyraźne były nie tylko różnice zdań między grupami, ale także zróżnicowanie w grupach. I tym właśnie różni się ten kurs językowy od innych. Nic więc dziwnego, że trudne było pożegnanie. Intensywność tych spotkań każe nam porównać ten projekt z seminarium izraelsko – niemieckim. Znaczenie polityczne jest tak samo ważne. Nie ma „pojednania narodów”, są indywidualne spotkania ludzi.

(fragmenty tekstu z: Erziehung und Wissenschaft 10/97)

*Polski dla
zaawansowany z
Agatą Kaszewską*



Mazury I w roku 1995 – notatki na marginesie

Czy już Pan nie zna niemieckiego?

Ciepły wieczór pod sosnami z tyłu tarasu kawiarni młodzieżowego ośrodka „Perkoz”. Rozklekotane pianino przyniesione tu specjalnie na mocnych ramionach i Ewa z Chrzanowa zabawia grupę swoją grą. Od klasyki po polkę i rock’n roll. Wszystko grane z pamięci. Wszyscy wtórują śpiewem i tańczą w przeróżnych stylach. Wesoła, swobodna atmosfera. Alkohol nie gra żadnej roli. Piwo w butelkach i tak jest ciepawo, a od 22.30 bar już jest zamknięty. Przy stolikach głębokie i mniej poważne rozmowy; pierwsze próby testowania się we wzajemnych językach. Nieco dalej, z tyłu wokół Henryka, utworzył się klub brydżowy, tuż między sosnami. Nawet młodzieży wydaje się to podobać. Coraz więcej dzieciaków przychodzi z obozu i namiotów.

Około 23.00 lekka irytacja na parkiecie. Ktoś chce rozmawiać z „gruppenleiterem” i kierowany jest do mnie. Ach ten „pan oberstudien-direktor”.

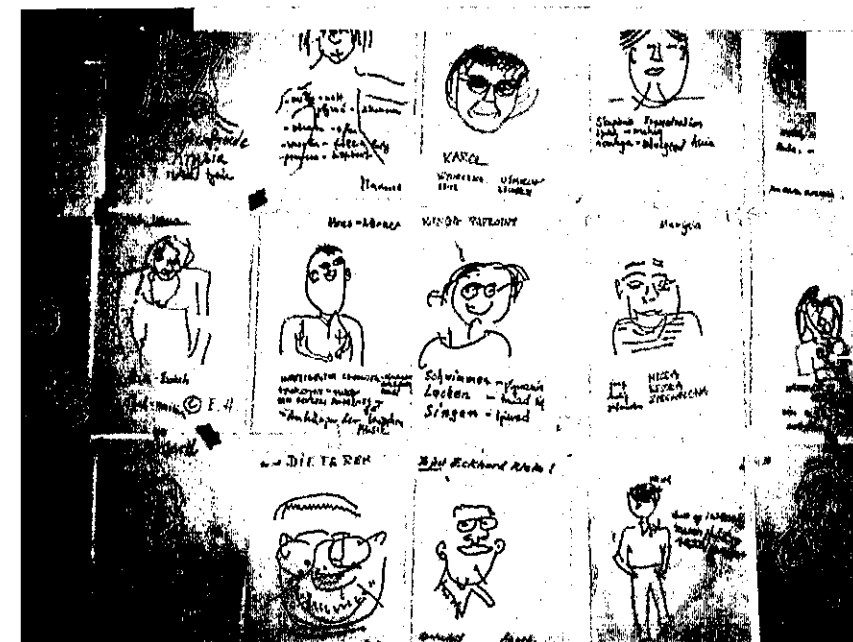
„Tak, słucham?” - „Powiedziano nam, że głośna muzyka jest tu tylko w jeden wieczór w tygodniu. To powinno chyba wystarczyć!” Co za ton. Teoretycznie, myślę sobie, nie całkiem jest on bez racji, w każdym razie, gdybyśmy byli w osiedlu mieszkaniowym. Ale tu to co innego. Dookoła obozy harcerskie, do północy wciąż coś się dzieje, a piosenki przy ognisku milkną daleko nad jeziorem dopiero nad ranem. A poza tym muzyka z pianina nie jest aż tak głośna. Nie ma wzmacniacza i walących basów. Nawet nasz akademik wydaje się to kontemplować. Cały czas gra dwuznaczny podglądacz i zostaje w końcu bez większego protestu aż do ostatniego dźwięku. Do tego czasu przenosi się taniec i śpiew w głąb lasu: potrzebujemy miejsca do ludowych tańców i figur poloneza. Na koniec jeszcze piosenki Beatles’ów, nastrój pożegnania.

No tak. Impreza kończy się w harmonii. Ale on musi się wtrącić: Kiedy mówimy mu, że wśród nas były „kids” (dzieci) z jego grupy, natychmiast znalazł pretekst do wystąpienia: „Pan ma na myśli dzieci? Czy Pan już nie zna niemieckiego?”

To był ten sam Niemiec, który tak dziwnie zareagował, gdy usłyszał, że jesteśmy niemiecką grupą, która przyjechała tu uczyć się polskiego.

I stało się jeszcze gorzej. Razem ze swoją żoną (typ guwernantki ze staromodnym kokiem, w okularach z kasy chorych, ale z dobrego domu) prowadzą tu na zaproszenie mniejszości niemieckiej z Olsztyna seminarium historyczne dla młodzieży niemieckiej na Mazurach (ta młodzież w dodatku mówi po polsku) i młodzieży niemieckiej z „Północnej Marchii”. Heiner Petersen z Elmshorn, zuchwały młodzieniec w okresie dojrzewania wygadał się, gdy Angelika, koleżanka z grupy GEW, wzięła go na spytaki (z powodu jakiegoś występku). W końcu opowiedział o tym, czego się uczą: że Pomorze i Prusy Wschodnie

Przy stolikach głębokie i mniej poważne rozmowy; pierwsze próby testowania się we wzajemnych językach.



muszą być znów niemieckie, bo w końcu każdy naród powinien wrócić do swoich granic, itd... Nie byłoby to wymierzone przeciw Polakom, mogliby tutaj mieszkać jako ludzie, powiedzmy, drugiej kategorii. Dalsze odpytanie staje się trudne. Heiner Petersen zamyka nagle przemądrzałą gębę. Jego „gruppenleiter“ wyteżył chyba słuch. Trudno wydobyć coś bliższego. Kim są, skąd przyjechali i przede wszystkim: kto finansuje to świństwo? U kierownika ośrodka figurują tylko ich imiona i bez przeszkód robią to oficjalnie.

Po interwencji Angeliki i Joanny, która kieruje grupą „Solidarności“, poinformowano administrację ośrodka i „Gazetę Olsztyńską“. Również Prezydium „Solidarności“ chce zareagować.

Butne wystąpienie tych teutonów ukoronowane zostało zresztą w dniu wyjazdu hałaśliwym pożegnaniem. Między 5.00 a 7.00 rano grupa głośno kotłuje się między budynkiem, a autobusem, aż nawet największych śpiochów wytrąca to ze snu. Bezcelność bez granic. Tylko oni się liczą, jakby nie było nikogo innego na świecie, a ten „pan oberstudien-direktor“ udaje niewinnego i zmuszony do rozmowy przez obudzone koleżanki nie ma o niczym pojęcia.

Są też inne przykłady rozliczania się z przeszłością.

Na przykład ewangelicki pastor w Sorkwicach, do którego gminy należy kilku protestantów pochodzenia niemieckiego. Od lat zaprasza on młodzież z całego świata. Jego duża plebania przekształciła się z czasem w obóz wakacyjny i biwak. Bogaty program przez całe lato, a nawet zimę. Obecnie gości tam 150 młodych ludzi. Sport i praca fizyczna, program kulturalny i czas wolny – wszyscy coś razem robią. W jego kościele staliśmy się świadkami szczególnego wieczoru: grupa młodzieży z Osnabrück żegna się po dwóch tygodniach pobytu małym „gospelshow“ w połączeniu z koncertem organowym brytyjskiego organisty.

No tak, a potem Christian (von Redecker) w swoich stronach w Botowie. W swoich stronach w podwójnym sensie. Jego wieloletnia wakacyjna kwatera tuż nad brzegiem jeziora Sowitki położona jest dokładnie w tym miejscu, które należało kiedyś do jego przodków ze strony ojca. Nie bez dumy opowiada, że wyboistą drogę dojazdową zbudował jeszcze jego dziadek. Ale to jest historia. Starego domu już nie ma, a Ignacemu Tunskiemu, obecnemu właścicielowi, znacznie pomógł przebudować jego dom na kwaterę letniskową. Christian zaprasza tutaj ludzi i buduje małe mosty wszędzie tam, gdzie się da. Oczywiście, gdy „jego“ jezioro otoczy zbyt wiele nowych wakacyjnych apartamentów (na razie panuje tu idylliczny spokój), wtedy nie będzie chciał więcej przyjeżdżać. Ale nikt mu nie wierzy.

Po co mam się uczyć słów, których nie potrzebuję?

Po dwóch dniach seminarium na temat kontaktów polsko – niemieckich zaczyna się kurs językowy. Zdażyliśmy się już trochę poznać. Obie grupy rozdzielają się więc, aby uczyć się nawzajem swoich języków. Grupa GEW jest już tylko wśród swoich. Naszą lektorką jest Grażyna. Niestety, osiemnastoosobowa grupa nie może być podzielona, ale przecież tylko początkujący byli brani pod uwagę, tylko jeden poziom nauczania, inaczej niż u Polaków. Grażyna zaczyna od razu, bez tablicy, bez książki. Uczymy się ze słuchu i powtarzamy: „Jak się nazywasz? Nazywam się...“ jeszcze raz i jeszcze raz. A potem raz jeszcze z polskimi wymyślonymi imionami. Przy głoskach syczących drżą usta. Dokąd z tym zaimkiem zwrotnym? Czy to się wymawia „sza“, czy „djsze“ lub „sze“ i jaka była w tym momencie końcówka czasownika? Nie tak łatwo, taki inny ten język. Jednak wszyscy bardzo się angażowali i jakoś przechodziły każdemu przez usta właściwe sformułowania. Na razie. Ale następnego przedpołudnia zaczęło się: „Dlaczego uczymy się tych słów?

Nie potrzebuję ich!“, „Według jakiej metody się uczymy?“, „Czy nie ma żadnego podręcznika?“, „Grażyna, nie mogłabyś tego zapisać? Nie mogę zapamiętać!“, „Żle to zapisałaś, przecież inaczej to wymawiasz“. „Jaka jest żeńska forma?“

Wyszło na to, że wśród 18 fanów języka polskiego z GEW jest 18 ekspertów od „nauki polskiego dla dorosłych“.

Grażyna jest coraz bardziej zaskoczona. Trzyma jednak fason i próbuje zająć się każdym pytaniem. Te gierki zaczynają zabierać tyle czasu, że zostaje go za mało, by uczyć się i ćwiczyć. Jestem dość zaszokowany zarówno niezdyscyplinowanym i zarozumiałym zachowaniem niektórych osób z naszej grupy, jak i brakiem wyczucia sytuacji, w której się znajdujemy. Bądź co bądź jesteśmy gośćmi w obcym kraju, w innych warunkach, z lektorką, która jest respektowana przez wszystkich, a z pedagogicznego punktu widzenia, w sytuacji, w której najpierw trzeba się poddać temu, co nam proponują.

Zanim jednak poniosła mnie na ziemię uwaga jednej z koleżanek: „Skład tej grupy jest taki sam, jak w naszej radzie pedagogicznej“. A kiedy później zorientowałem się, że w polskiej grupie też coś się dzieje, zacząłem odczuwać coraz większą ulgę.

Mimo wszystko: kurs językowy z nauczycielami i do tego jeszcze w heterogenicznej grupie ekspertów z GEW – to nie jest łatwe zadanie. A w dodatku sądziłem, że po zakończeniu seminarium będę miał spokój, będę mógł się skoncentrować całkowicie na nauce języka i wolnym czasie, że nie będę musiał występować w roli szefa z GEW.

Kurs językowy w tandemie na Mazurach na nowo? Jestem sceptyczny, ale w końcu relacje i zachwyty wszystkich uczestników są jednoznaczne: proszę kontynuować.

Wyszło na to, że wśród 18 fanów języka polskiego z GEW jest 18 ekspertów od „nauki polskiego dla dorosłych“.



Lekcja grzybobrania z Joanną Skibą (Mazury II)

Mazury nas zmieniły

Konferencja w Cottbus, choć nic o niej wtedy nie wiedziałam, odegrała ważną rolę w moim życiu zawodowym. Wprawdzie brzmi to patetycznie, ale to prawda. Rok 1992 był dla mnie bardzo trudny. Oprócz codziennej pracy w szkole studiowałam germanistykę, gdyż jako nauczycielka języka rosyjskiego nie miałam żadnych ciekawych perspektyw zawodowych. Wolny czas dla mnie nie istniał. Mimo to przyjąłam propozycję Jarosława Krauze, aby pomóc mu w prowadzeniu kontaktów międzynarodowych naszej Komisji Zakładowej Wrocław – Krzyki. W maju przyjęliśmy pierwszą niemiecką delegację z Georgiem Gerdesem (GEW Diepholz) na czele. Był to wynik konferencji w Cottbus. Co znaczyło to dla mnie? Bardzo dużo: kontakty z żywym językiem, niemiecką kulturą, życiem w Niemczech. Bez tych kontaktów język niemiecki byłby dla mnie pozbawiony duszy. A jaką wartość ma germanista, który tej duszy nie czuje i nie rozumie? To pierwsze spotkanie we Wrocławiu, a potem w Bremie i nawiązana dzięki tym wizytom wymiana uczniów ze szkołą w Stuhre-Moordeich były moim pierwszym prawdziwym spotkaniem z niemiecką rzeczywistością.

Potem były Mazury.

Na udział w pierwszym kursie zdecydowałam się w ostatniej chwili. Właściwie zadecydował fakt, że pisałam właśnie pracę magisterską i potrzebowałam porad językowych. Jechałam bez przekonania, że dobrze robię, niepewna swoich umiejętności. Nie jest łatwo uczyć nauczycieli, nie jest łatwo prowadzić kurs niemieckiego w otoczeniu Niemców. Sam stres.

I pierwsze spotkanie mazurskie rzeczywiście nie było łatwe, ale było bardzo udane. Zaowocowało następnymi spotkaniami i w ciągu pięciu lat wytworzyła się wspólna atmosfera, nawiązały się przyjaźnie. Nie było żadnych trudnych tematów, a jeśli dochodziło do jakichś nieporozumień, to wywoływali je raczej związkowi działacze.



Lista fanów mazurskiego projektu jest coraz większa. Dla wielu uczestników z mojej grupy stał się on prawdziwym przełomem. Niektórzy zdecydowali się na studiowanie języka niemieckiego, wielu nawiązało kontakty szkolne, wszyscy odwiedzają się nawzajem, piszą listy, telefonują. Sama też wiele się nauczyłam, a obecnie, gdy zostałam dyrektorem pewnego gimnazjum, te kontakty wpływają na specyfikę mojej szkoły.

Mazurskie spotkania zmieniły nie tylko mnie, zmieniły wszystkich. Bliska znajomość z ludźmi z innych kręgów kulturowych, poznawanie ich sposobów bycia, sposobów myślenia, ich zalet i wad nie tylko uczy tolerancji, sprawia, że ma się dystans do swoich własnych problemów, wskazuje nowe perspektywy. Te perspektywy dają inny punkt odniesienia w spojrzeniu na własny świat i świat innych ludzi. Pozwalają obejrzeć wszystko z zewnątrz, więcej widzieć i więcej rozumieć. Czasem można się wtedy poczuć bardzo samotnym. (Listopad 2000)

Mazury 1996 i 2000. Porównanie

Dwukrotnie uczestniczyłem w wakacyjnym kursie języka niemieckiego i polskiego organizowanym przez GEW i NSZZ „Solidarność”. Pierwszy raz w 1996 roku, w drugiej edycji tegoż kursu. Był to okres, w którym zacząłem się intensywnie interesować kulturą i językiem niemieckim. Zdobyte wiadomości i umiejętności podczas przedpołudniowych zajęć można było natychmiast wykorzystać przy posiłkach, rozmowach prywatnych lub spotkaniach organizowanych po południu i wieczorem.

Po raz drugi uczestniczyłem w tym kursie w 2000 roku, tj. w ostatniej edycji tego kursu. Rozkład zajęć nie zmienił się istotnie, jedynie intensywność zajęć była jeszcze większa, a dobór uczestników bardziej selektywny. Porównując te dwa kursy, w których uczestniczyłem, należy stwierdzić, że metody wypracowania programu kursu stały się doskonalsze, a program dryfuje od wycieczek krajoznawczych i imprez „stricto” rozrywkowych w kierunku wysublimowanej kultury, czego dowodem wieczory poświęcone Andrzejowi Szczypiorskiemu, piosence francuskiej czy niektórym kierunkom i tematom filmowym. Istotną częścią tych spotkań było też poruszanie problemów związanych z działalnością związkową, np. porównywanie

warunków pracy nauczycieli w Niemczech i w Polsce, reforma oświaty w Polsce, rola związków zawodowych w szkołach i inne. Moje prywatne doświadczenia mogą również potwierdzić pozytywny wpływ tych kursów na uczestników, krótko mówiąc, studiuję język niemiecki na UAM w Poznaniu (3 rok) i zostałem nauczycielem tego języka. Oprócz tego uważam, że trudno byłoby znaleźć tylu prawdziwych przyjaciół Polski z Niemiec w jakimkolwiek innym miejscu w Polsce.

(listopad 2000)



Nowe doświadczenie zawodowe

Uczenie języka polskiego jako obcego to zawód, który uprawiam od ponad 20 lat. Kiedy przed pięciu laty mój szef powiedział mi: „Pakuj rzeczy, pojutrze jedziesz na Mazury uczyć Niemców” – nie przypuszczałam, że wakacyjny kurs językowy stanie się fascynującym przeżyciem i nowym doświadczeniem zawodowym. Nauka odbywała się na łonie natury. Uczniowie – dojrzały ludzie, nauczyciele na ogół czynni zawodowo – okazali wiele życzliwości, nade wszystko zaś byli twórczy w stopniu niespotykanym w innych grupach. Wszystkie pięć spotkań mazurskich charakteryzowała wspaniała, przyjacielska atmosfera. Co roku był inny program pozalekcyjny. Jest to w dużej mierze zasługa organizatorów, nie sposób jednak pominąć pomysłowości i zaangażowania uczestników, którzy zwykle czują się współtwórcami tych mazurskich spotkań.



Dlaczego zaangażowałam się w „Projekt Mazury”? W młodości wyjeżdżałam do „krajów demokracji ludowej” i mogłam skonfrontować kulturowo – propagandowe stereotypy z rzeczywistością. Jako osoba urodzona i wychowana we Wrocławiu, miałam świadomość, że Polsce i Niemcom potrzeba szczerego dialogu i to nie tylko na poziomie dyplomacji. „Projekt Mazury”, oprócz nauki języka, zakładał spotkanie i poznanie przedstawicieli sąsiednich krajów rozdzielonych do niedawna żelazną kurtyną. Nic dziwnego, że temperatura niektórych dyskusji bywała gorąca, skoro zderzały się inne tradycje, inne punkty widzenia, odmienne kultury. Dyskutanci dzielili się na grupki, myliłby się jednak ktoś, kto by się spodziewał, że podział przebiegał według przynależności narodowej. Z takich dyskusji wychodziliśmy bogatsi, świadomi, jak myślą nasi sąsiedzi i dlaczego tak myślą. Wiedzieliśmy też i to, że nasi rozmówcy to ludzie zaangażowani w budowanie mostów między obydwoma krajami – organizatorzy wymiany młodzieżowej, imprez kulturalnych i współpracy związkowej. Dla mnie samej nauczanie języka polskiego w tak odmiennych warunkach – na wakacjach, poza miejscem zamieszkania, przy ciągłym kontakcie z językiem nauczonym, zarówno w czasie rutynowych czynności, jak podczas zajęć integracyjnych i różnorodnych dyskusji – było na tyle ważnym doświadczeniem zawodowym, że postanowiłam je opisać. Z artykułem na temat „Projektu Mazury” wystąpiłam w 1998 roku na konferencji zorganizowanej przez Politechnikę Wrocławską (druk w: „Socjolingwistyczne i kulturoznawcze elementy w nauczaniu języków obcych w aspekcie jednoczącej się Europy”, Wrocław 1998).

W ciągu kilku lat spotkałam stu kilkudziesięciu nauczycieli z obu krajów, o których wiem, że będą wychowywali swoich uczniów do pokoju, będą ich uczyli odkrywania ścieżek przyjaźni, pokazując im swoje

własne odkrycia. Pośrednie asystowanie temu procesowi przez lekcje języka polskiego jest dla mnie radością i zaszczycem.

W tym roku, będąc w Lublinie na konferencji poświęconej nauczaniu języka polskiego w świecie, miałam okazję rozmawiać o „Projekcie Mazury” z profesorem uniwersytetu tokijskiego, panem Tokimasa Sekiguchi. – „Zazdroszczę państwu” – powiedział profesor i wyjaśnił, że Japonia do dziś nie uznaje się za winną w stosunku do Korei, a Japończycy

na ogół nie wiedzą, jakie niechlubne działania podejmowały w Korei wojska japońskie podczas drugiej wojny światowej. O takich spotkaniach jak „Projekt Mazury” można na razie tylko marzyć.

Cieszę się, że wiele się zmieniło w stosunkach polsko – niemieckich od czasu, gdy byłam dzieckiem. Jeśli i mnie wolno marzyć, życzyłabym sobie, żeby podobne spotkania mogły się odbywać z udziałem Polaków i Ukraińców, Polaków i Rosjan, Żydów, Litwinów...

Nic dziwnego, że temperatura niektórych dyskusji bywała gorąca, skoro zderzały się inne tradycje, inne punkty widzenia, odmienne kultury. Dyskutanci dzielili się na grupki, myliłby się jednak ktoś, kto by się spodziewał, że podział przebiegał według przynależności narodowej.

Polska? Co to za kraj? Gdzie on leży? Czy mam z nim coś wspólnego? Odpowiedź na te pytania przez długi czas brzmiała: „Nie mam pojęcia!”

Wszystko zmieniło się, gdy maja córka „złapała polskiego wirusa”. Spędziła rok na wymianie uczniów w zachodniej Polsce i była zachwycona. To mnie zaciekawiło i zaczęłam przyglądać się temu krajowi. Od tego czasu zauważałam i czytałam artykuły w prasie, interesowałam się działaniami, które prowadzili nauczyciele w naszej szkole, aby zainicjować partnerstwo z jakąś polską szkołą. Nagle zrobiło się dużo Polski wokół mnie i miałam także okazję wzięcia udziału w wizycie naszych nauczycieli w partnerskiej szkole. Dość nieprzyjemnie było mi przy tej okazji, gdy nie mogłam powiedzieć żadnego słowa po polsku, nawet „dziękuję”, a moja decyzja, aby uczyć się polskiego, dojrzała w czasie tych dni w Poznaniu.

I właśnie wtedy pojawiła się notatka w E+W, w której informowano o czwartym spotkaniu polsko – niemieckim z nauką języka na Mazurach. To była właśnie ta okazja, aby w końcu nauczyć się mówić po polsku „dziękuję” i może jeszcze coś więcej. A więc: zgłoszenie, miejsce na liście, wyjazd do Nowej Kaletki (nikt nie zna tego miejsca) i

przyjazd, prawie do raju. Chociaż nowa i obca zostałam natychmiast serdecznie powitana i przyjęta w kręgu „stałych bywalców”.

Ten kurs językowy był niezwykle wesoły, dużo śpiewaliśmy i śmialiśmy się z polskimi lektorami, gdy nasze języki znów nie chciały czegoś wymawiać tak jak trzeba. W bardzo rozluźnionej atmosferze nauczyliśmy się wiele, nie tylko polskiego. W wolnym czasie dużo rozmawialiśmy, dyskutowaliśmy i organizowaliśmy. Ponieważ uczestnicy po obu stronach w różnym stopniu opanowali znajomość języka, mogliśmy ze sobą rozmawiać. Ktoś umiał już nawet tłumaczyć, gdy nie dawało się przy pomocy słów, rąk i nóg – bardzo efektywna nauka – życzylabym sobie czasami takich sytuacji na szkolnych lekcjach. A wieczorem dawaliśmy się porwać przez polskich uczestników do tańca i śpiewu.

Po 14 dniach kursu byłam zaskoczona, jak bardzo jednocześnie odpoczęłam – to mogła być zasługa tylko miłego towarzystwa i dobrej atmosfery. I na szczęście było piąte spotkanie na Mazurach w 1999 roku. Aby nie błąkać się znów w grupie początkującej, lecz troszkę móc porozmawiać, zorganizowałam sobie mały skok do przodu dzięki kursowi językowemu we Wrocławiu i mogłam wtedy dopiero utrzymać się w grupie zaawansowanej. I mam nadzieję, że będą dalsze spotkania, ponieważ mój „polski wirus” jest niezwykle aktywny i potrzebuje już trochę więcej ćwiczeń i lekcji, by ten język opanować.

(sierpień 1999)

*Polski dla
początkujących z
Grażyną Balkowską
(Mazury V)*

Porozumienie polsko – niemieckie wzięte dosłownie

Nieczęsto się zdarza, że wraca się z jakiegoś szkolenia z nostalgią i werwą jednocześnie. Miejsce kursu nazywa się Nowa Kaletka nad jeziorem Gim, 30 km na południe od Olsztyna, na Mazurach i łączy od pięciu lat na 14 dni sierpnia 20 niemieckich i 20 polskich nauczycieli w bardzo efektywnej związkowej, kulturalnej i zawodowej wymianie. Głównym celem tego polsko – niemieckiego spotkania jest opanowanie nawzajem swoich języków. Poświęca się temu 4 godziny dziennie. „Zadania domowe” odrabiane są w wypróbowanej formie „tandemu”, w którym każdy polski uczestnik współpracuje z koleżankami i kolegami z Niemiec. Zajęcia prowadzą polskie nauczycielki. Dbają o tłumaczenia przy wspólnych imprezach – jak zwiedzanie zamku w Olsztynie (Kopernik), przyjęcie w ratuszu, spływ kajakowy Łyną, bieg na orientację przez lasy i łąki, wieczory ze śpiewem i tańcem, wieczór literacki poświęcony R. Kapuścińskiemu, dyskusje o reformie szkolnej, o relacjach między kobietą a mężczyzną, o identyfikacji narodowej, wykłady z psychologii komunikacji i uczenia się wszystkimi zmysłami, a także przy uroczystym wieczorze pożegnalnym. Ponadto grupy polsko – niemieckie zorganizowały wizytę na grobach żołnierzy z czasów wojny, w skansenie w



Olsztynku i kościele w Gietrzwałdzie. A gdy 11 sierpnia po wspólnie przeżytym zaćmieniu słońca znów zrobiło się jasno, wszyscy uczestnicy odebrali to symbolicznie, jako spojrzenie na mroczne doświadczenia wspólnej historii obydwu sąsiadujących narodów. Trochę więcej światła może wnieść przyjacielska wymiana nauczycieli i grup uczniowskich.

(E+W Niedersachsen 12/99)

Jan Glemza

Uczestniczyłem po raz czwarty w spotkaniu polsko – niemieckim na Mazurach. Bardzo istotna dla mnie podczas tych zjazdów była atmosfera panująca wśród uczestników. Dużo wzajemnej serdeczności. Szczególnie ze strony niemieckich kolegów i koleżanek. Ja, człowiek wychowany w komunizmie i przesłaknięty w pewnym stopniu tą ideologią, z rezerwą i dużą dozą nieufności podczas pierwszego spotkania patrzyłem i odnosiłem się do kolegów i koleżanek z Niemiec.

Lecz za każdym następnym zjazdem, kiedy również moja znajomość języka niemieckiego poprawiała się na tyle, iż mogę w miarę porozumieć się i utrzymywać kontakty korespondencyjne. Rezerwa i nieufność znikły, a pojawiła się sympatia i serdeczność również z mojej strony. Co zawdzięczam w dużej mierze stronie niemieckiej.

(wrzesień 1999)

Kursy językowe na Mazurach

Moje zainteresowanie Polską powstawało długo.

Zacząłem się od prywatnych wypraw (spływy kajakowe). W wyniku pewnego wyjazdu do miejsc pamięci powstał projekt we Wrocławiu (praca z niemieckimi i polskimi uczniami na cmentarzu żydowskim). Tłem tego projektu były wyjazdy szkolne do Izraela, praca w kibucu i rozliczenie z holocaustem.

Projekt rozwijał się dobrze do dziś, ale sytuacja językowa była wielce niezadowolająca. Polacy musieli mówić po niemiecku, aby spotkanie mogło dojść do skutku. Stąd też powstał pomysł nauki języka polskiego.

W tym roku byłem po raz trzeci na kursie językowym na Mazurach (Kłobuk). Poza tym wziąłem sobie wraz z koleżanką, która prowadzi ze mną ten projekt, prywatne lekcje polskiego, ponieważ sam kurs to oczywiście za mało, aby nauczyć się tego trudnego języka.

Kłobuk to dla mnie prawie idealna kombinacja nauki języka – pracuje się bardzo ciężko – i spotkań z ludźmi z obcego kraju. Powstają rzeczywiście przyjaźnie i zrozumienie, a gotowość do rozmów rośnie od spotkania do spotkania i do tego urlop w pięknym kraju.

Nawet jeśli kontakty GEW z obecną „Solidarnością”, która staje się konserwatywno – klerkalna, są być może politycznie problematyczne, to kontakt między uczestnikami kursu jest bezproblemowy i bardzo inspirujący. Dodatkowy program obok nauki języka znacznie się do tego przyczynia.

Znam seminaria niemiecko – izraelskie naszego związku i myślę, że opisany tu projekt GEW ma szczęście być podobnie udany i życzę mu długiego istnienia.

Ja sam mam nadzieję, że będę mógł w nim tak długo brać udział, aż będę umiał nie tylko zadawać pytania po polsku, co czasem mi się udaje, lecz także zrozumieć odpowiedzi.

(sierpień 1999)

Scenka:

„Der Nachbar in der Nachbar“.



Tandem w Nowej Kaletce

Spotkania polskich i niemieckich nauczycieli podczas wakacji mają już swoją własną, piękną tradycję. Wszyscy uczestnicy wspominają z ciepłem w sercach czas spędzony na Mazurach. Nauka języka obcego, wiele niezwykłych przeżyć i piękno Mazurskich pejzaży sprawiają, że ten 14 – dniowy pobyt nad jeziorem Gim zostawia w pamięci niezatarte ślady.

Co roku z inicjatywy uczestników powstają nowe pomysły, które wzbogacają lub rozwijają program. Ideą tego roku był „tandem”. Spoglądając do niemieckiego słownika wyrazów obcych Dudena można przeczytać:

„Tandem” (łac.-ang.) 1. Wóz z dwoma zaprzężonymi jeden za drugim końmi.

2. Podwójny rower z dwoma ustawionymi jeden za drugim miejscami i z odpowiednim układem pedałowym“.

Zdecydowałyśmy się na trzecie objaśnienie, które w wolnej interpretacji brzmi następująco: dwa połączone obok siebie napędy, które działają na tym samym wale, lub inaczej – dwie współpracujące osoby, które dzięki jednakowej motywacji są wzajemnie dla siebie bodźcem do działania.

Wprowadziliśmy w czyn nasze życzenie, by intensywnie uczyć się języka obcego – optymalnie 1+1, ale również w 3- lub 4-osobowym „tandemie”.

Pracowaliśmy dobrowolnie także późnym popołudniem; przy słonecznej pogodzie – na łące, a w czasie wiatru lub deszczu – w pokoju. Kawa z termosu i smaczne wędłowskie ciasteczka stwarzały dobre warunki do nauki. W naszej 4-osobowej grupie tandemowej byliśmy jako Niemcy w korzystniejszym położeniu: polska koleżanka rzadko miała trudności z językiem niemieckim. Mogła więc nam pomagać w „zadaniach domowych”, ćwiczeniu schematów językowych, a także zaspokajać naszą ciekawość dotyczącą niezbyt często używanego słownictwa...Szczególnie ważne były zawsze wskazówki objaśniające zastosowanie odpowiednich słów, np. w restauracji.



Słowa: „płacić”, „pływać” i „płodzić” brzmią dla niemieckich uszu bardzo podobnie. Jednak tylko „płacić” jest właściwe, gdy proszę kelnerkę o rachunek...

Grupy tandemowe pociągają za sobą powstawanie i dalszy rozwój stosunków przyjacielskich. Nawet dotknięcie „tabu” stało się możliwe. W małych grupkach lub na plenum mogły być w przyjacielskiej atmosferze i z pełnym zaangażowaniem przedyskutowane tak kontrowersyjne tematy, jak „Wychowanie seksualne w szkole” oraz „Czy istnieje problem wypędzonych?”

Praca tandemów miała wpływ także na inne zakresy:

- wymiana materiałów do nauki i wierszy (Zbigniew Herbert, Wisława Szymborska – Erich Fried, Hilde Domin)
- nauka tańca dla wszystkich: polska nauczycielka muzyki uczy krakowiaka, poloneza, rock’n rolla i bluesa
- nauka pływania: niemieccy koledzy uczą polskich kolegów technik pływania
- wzajemne odwiedziny dają wgląd w codzienność i życie zawodowe.

Powyższe refleksje dotyczące czwartego projektu mazurskiego GEW i NSZZ „Solidarność” powstały w tandemie.

Nasz wniosek: Zobaczymy się znów w przyszłym roku! Na Mazury!

(z: Przegląd Oświatowy, listopad 1998)

„Nie rób samemu, co można we dwoje!”

Takie nieco frywolne motto zapoczątkowało piąty polsko – niemiecki projekt kursu językowego „Mazury 1999”. Uczestnicy tego- rocznego kursu w Nowej Kaletce musieli bowiem sporo czasu przeznaczyć na naukę w polsko – niemieckich tandemach.

Idea ta powstała już w ubiegłym roku i z powodzeniem została wprowadzona przez kilkoro uczestników (Berlin / Kraków), jako dobrowolne dodatkowe zajęcia. Praca w tandemach przyniosła wyjątkowo dobre efekty zarówno w rozwijaniu kompetencji językowych, jak również w nawiązaniu kontaktów i w procesie integracyjnym grupy. Dlatego organizatorzy – ze strony GEW Christoph Heise i ze strony „Solidarności” Beata Więclaw oraz lektorki: Magda Wankiewicz, Grażyna Balkowska, Krystyna Klineciewicz i Anna Paprotny – zdecydowali, aby tym razem wszyscy uczestnicy część zadań wykonywali w tandemach.

Przed południem odbywały się zajęcia w grupach językowych zaawansowanych i średnio-zaawansowanych, a późnym popołudniem i wieczorem już w konkretnych tandemach. Ponieważ zadania były zróżnicowane i dawały każdej parze szansę na własną inwencję, można było swobodnie wybierać stopień trudności, czas i miejsce pracy np. trąp nad jeziorem, leśną ścieżkę, słoneczny

taras, kawiarnię z głośną muzyką lub zacisze pokoju ze słodyczami dla pokrzepienia...

Nauka odbywała się zresztą zawsze i wszędzie, także przy stole podczas posiłków, czy prowadzonych do późna rozmów, przy okazji wycieczek, konkursów czy tańca, no i oczywiście podczas codziennych, wspólnych wieczorów kulturalnych, które stały się tradycją mazurskich spotkań. Podobnie jak w ubiegłym roku nad całością programu czuwała specjalna grupa inicjatywna – das Komitee, która troszczyła się o atrakcyjność i urozmaicenie zajęć, a także o sprawny przepływ informacji.

Taka forma współpracy była z wielu względów ważnym uzupełnieniem. Przygotowano różnorodne zabawy integracyjne, muzyczne i językowe, które ułatwiają poznanie się (np. „List gończy”, „Portrety”). Wspólne śpiewanie w obu językach, poezja i konkursy wiedzy, nauka tańca (w tym tańców polskich), a także spotkania dyskusyjne (dotyczące między innymi reformy oświaty, tożsamości narodowej, dnia codziennego w Polsce i w Niemczech) oraz zajęcia z psychologii komunikowania się.

Uczestnicy kursu wzięli także udział w specjalnie zorganizowanym spotkaniu z przedstawicielami towarzystwa „Borussia” i z wice-

prezydent miasta – Joanną Kuryło, które odbyło się w olsztyńskim ratuszu. Ponadto była możliwość zwiedzania zamku oraz uczestniczenia w koncertach. Odbył się pasjonujący spływ kajakowy i liczne wycieczki po regionie, które inicjowali sami uczestnicy. Mocnym akcentem mazurskich spotkań była jednak muzyka – międzynarodowy język zbliżający ludzi. Nic więc dziwnego, że na uroczystym wieczorze pożegnalnym nie zabrakło występów artystycznych, muzycznych i aktorskich, a część nieoficjalną wieczoru rozpoczęto wspianiałym polonezem w wykonaniu wszystkich uczestników kursu. Ktoś może pomyśleć, że 14 dni nieustannej nauki, myślenia i ciągłego testowania w prak-

tyce zdobytych umiejętności * poprzez bezpośrednie kontakty z innymi muszą być ogromnie męczące i stresujące. Ale jednak warto spróbować nowych metod nauki. Intensywna nauka języka obcego z elementami pracy artystycznej nie powodowała bowiem stresów, wręcz przeciwnie – dawała wiele radości i satysfakcji, a przy tym rozrywkę i wypoczynek, sprzyjała nawiązywaniu i umacnianiu przyjaźni. Nikogo więc nie dziwiło kilka też przy pożegnaniu czy pełne nadziei pytanie: kiedy się znowu spotkamy?

(artykuł z niewielkimi skrótami z Przeglądu Oświatowego, listopad 1998)

Irena Rozwadowska

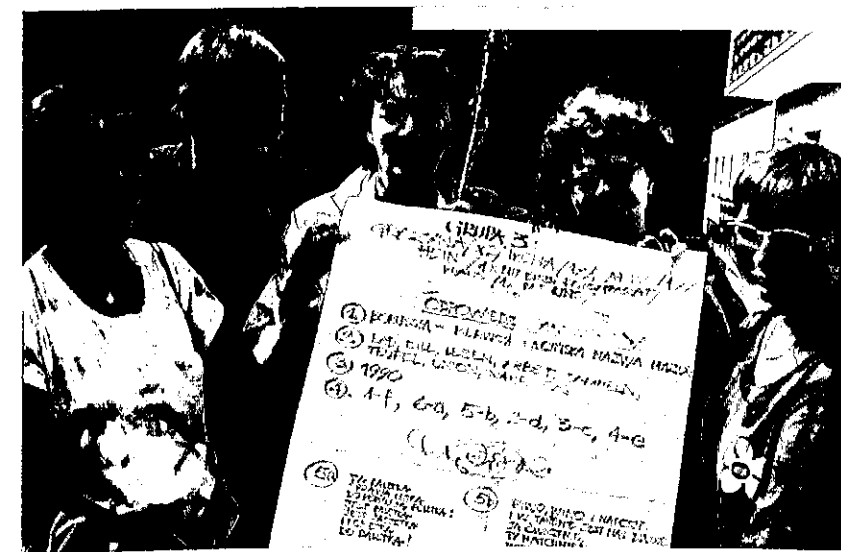
Już drugi raz miałam okazję spędzić dwa tygodnie lata pośród pięknej mazurskiej przyrody i wśród miłych, szczerych ludzi, którzy stanowią przez ten czas tak zgraną społeczność, iż trudno w to uwierzyć, że to ludzie dwóch narodowości, których historia tak często stawiała nie obok siebie, a raczej przeciw sobie.

Być może nasze spotkania w Nowej Kaletce są dowodem na to, że nasze pokolenie (ludzi w średnim wieku) jest pierwszym, które nie hodzi na nacjonalistycznych nienawiści w sercu, a stara się dać z siebie to, co najbardziej wartościowe, przyjaźń i życzliwość dla drugiego człowieka, nie ważne jakiej narodowości.

Naprawdę uważam, że czas spędzony na Mazurach z grupą polsko – niemieckich entuzjastów, to czas darowany mi przez los, czas,

w którym mogłam chociaż częściowo oderwać się od swoich codziennych problemów i kłopotów.

(wrzesień 1999)



Gdy 3.99 przeczytałem w E+W krótką informację „Uczyć się polskiego na Mazurach“ nie przypuszczałem, że niecałe pół roku później ukończę jedno z moich najpiękniejszych szkoleń.

Od lat związany z pewną Polką z Białegostoku trzy razy przymierzałem się do nauki polskiego i trzy razy się poddawałem. Dlaczego z kobietą, która dobrze mówi po niemiecku mam doprowadzać do sztucznej sytuacji i uczyć się tak trudnego języka? Tak więc oferta E+W wydała mi się najbardziej odpowiednia. I miałem rację. Po raz pierwszy wyszło mi wiele zdań w całości i po początkowej frustracji (wiem, że nic nie wiem) pojawiła się duma: jestem wciąż jeszcze sprawny, skleroza się mnie nie trzyma.

Program natomiast przyrządzony z doświadczeń i uczuć był różnorodny i ujmujący. Nawet tak zatwardziały indywidua jak ja

wpadły w wir otwartości i uprzejmości wobec świata i ludzi. I co mnie jeszcze dziś wieczorem, tu przy biurku, zastanawia: jak do tego doszło, że pełną piersią śpiewam pieśni, które - aby dać dwuznaczne oczywiście porównanie - odpowiadają mniej więcej tekstowi „Hohe Tannen“? Dlaczego tak długo szukałem mojego polskiego śpiewnika, który zawiruszył mi się w jakimś zamieszaniu? Znow zaczęły się powszednie dni. Ale w ostatni weekend byłem we Wrocławiu. O.K.: 9 godzin jazdy, trochę stresu, ale jest tam liceum i są nauczyciele zainteresowani wymianą. Jest też paru ludzi, których znam, i których chętnie odwiedzę. I cała ta sprawa jest na dłużej. 14 dni kursu i życie znów ma jakiś sens.

(sierpień 1999)

Anna Paprotny

Lepiej późno niż wcale

Latem tego roku byłam po raz pierwszy na niemiecko - polskim spotkaniu na Mazurach.

Nie znam niemieckiego, jechałam więc z mieszanymi uczuciami. Uczyłam wprawdzie polskiego cudzoziemców z całego chyba świata i zawsze bez pośrednictwa innego języka, trochę się jednak obawiałam.

Z pewnością moja nieznajomość niemieckiego stworzyła słuchaczom pewien dyskomfort, ale z drugiej strony mobilizowało to nas wszystkich do dużego wysiłku.

Wspominam z przyjemnością tę wakacyjną pracę - przygodę. Jestem pełna podziwu dla tak dużej motywacji uczących się i ich ogromnej aktywności w czasie całego pobytu w Nowej Kaletce. To miło, że nasi sąsiedzi

chcą się uczyć naszego, niełatwego przecież, języka.

Wyjeżdżałam z Mazur przekonana, że osiągnęliśmy wszyscy kolejny stopień wtajemniczenia, że doceniliśmy wartość takich spotkań i możliwości skonfrontowania stereotypowych wyobrażeń o sąsiadach z rzeczywistością.

Wywozłam jeszcze jedno: absolutne przekonanie, że bez znajomości języka przez obie strony nasze poznawanie i zbliżanie będzie bardzo trudne. I właśnie dlatego zapisałam się na kurs języka niemieckiego. Besser später als überhaupt nicht.

(październik 1999)

Jan Szymanski

Spotkania z emocjami

Najsilniejsze emocje pochodzą od wspólnych ludzi, których tutaj poznałem. Niepodważalne piękno Mazur stworzyło wspólny klimat do wzajemnego poznania się, zwiększyło natężenie przeżyć i odczuć. Otwarte umysły i serca moich miłych Koleżanek i Kolegów z Polski, myślenie w kierunku jak najlepszego porozumienia i przyjaźni, wywarło to na mnie bardzo pozytywne wrażenie. Ale siłą rzeczy jeszcze silniejszym wrażeniem było to, że to samo odczułem z Waszej strony - Drogie Koleżanki i Koledzy z Niemiec. Duże wrażenie wywarł na mnie Wasz styl bycia: swobodny, konsekwentnie realizowany, w którym jest miejsce i na humor. Bardzo silne wrażenia wywarły na mnie moje rozmowy z Wami, szczególnie te bardziej indywidualne. One są konieczne do głębszego poznania się. Umiecie pochwalić, zachęcić do działania. Jesteście obiektywni, życzliwi i nawet drobna wymiana pozdrowienia z Wami potrafiła wywołać u mnie optymizm do działania. Największym przeżyciem dla mnie było nasze wieczorne spotkanie połączone ze wspólną zabawą na pożegnanie. Panował cudowny nastrój i tworzyliśmy wspaniałe bawiącą się grupę przyjaciół. Jak najlepsza atmosfera całego spotkania uległa jakby kumulacji. Było w tym coś symbolicznego i pięknego. Szkoda tylko, że to tak szybko minęło.

Pięknym wrażeniem i przeżyciem były chwile, gdy Klaus i ja przekazywaliśmy sobie nawzajem we wspaniałej ogólnej atmosferze wieńiec laurowy. Był to jeden z symboli naszego wspólnego sukcesu.

Teraz o przyczynach mojego zaangażowania w spotkania polsko - niemieckie. Po pierwsze uczę się z wielką przyjemnością języka niemieckiego (co zaszczerpił we mnie mój ojciec) i wręcz cierpię z powodu moich małych możliwości konwersacji w tym języku. Interesuję się bardzo narodem niemieckim w każdym aspekcie, podziwiam zabytki Waszej kultury, piękno kraju. Niestety,



najczęściej umożliwia mi to program 3 SAT, ale w miarę możliwości dążę do częstszych wyjazdów. Na przykład, będąc na początku lipca tego roku w Darmstadt (w ramach współpracy partnerskiej Płocka), zwiedziłam tam wszystkie piękne zabytki, jak również Würzburg - gdzie mieliśmy wycieczkę. W Darmstadt odwiedziłam Instytut Niemiecko - Polski, w efekcie czego studiuję teraz książkę „Polacy i Niemcy-100 kluczowych pojęć“. Chcę dołożyć swoją cegiełkę do jak najlepszego porozumienia polsko - niemieckiego. Wykorzystam w tym względzie każdą okazję.

(wrzesień 1999)

Impresje z Mazur

„Ostpreußen ade?“ (R. Giordano) – Być może, ale bliskie nam są Mazury... świat prawie jak z folderu: dalekie sosnowe lasy, wrzosa, leśne jagody, piaszczyste drogi, nietknięte jeziora i rzeczki, zachody słońca, malownicze wioski, wijące się dróżki i obrosnięte drzewami aleje – rozmarzone, zadumane, spokojne.

A wśród tego wszystkiego nasz kurs, wprowadzie nie do końca niezwykły, ale wcale nie zwyczajny: Polacy i Niemcy wspólnie przy nauce swoich języków, przy intensywnych rozmowach i niewymuszenie swobodnych zabawach, wieczorach dyskusyjnych, literackich, wieczorach z piosenką. Zabawa, śpiew, taniec, śmiech, radość i serdeczność – jakby nigdy nie było przepaści i uprzedzeń między obydwoma narodami.



Ale mimo to pojawia się jednak w niektórych rozmowach niejasne, skryte, niesprecyzowane uczucie, które nawet po 50 latach jest wciąż aktualne: pochodzić z pokolenia sprawców i siedzieć wspólnie z potomkami ofiar, których prawie wszystkie rodziny oplakiwały swoich zmarłych wskutek nazistowskiego terroru. A teraz być obywatelem kraju, który gospodarczo od dawna znów góruje, ale w sprawie polskich robotników przymusowych zachowuje się absolutnie żenująco i haniebnie

Inaczej jest wśród wielu Polaków: mieszanina lęku i podziwu dla gospodarczego olbrzyma

na Zachodzie, ale także wyraźna chęć odkrycia własnej siły. I ta potrzeba wyjścia z roli ofiary, roli, która rozwinęła się i utrwaliła w ciągu prawie dwustu lat bezskutecznych powstań przeciwko różnym ciemnościom. Po raz pierwszy z „Solidarnością“ powstanie przebiegło naprawdę zwycięsko. Jednak obecne trudności wydają się być niezmierzone i bez końca. W jaki sposób na przykład pokonać lub zażegnać od środka, a przede wszystkim na zewnątrz nową przepaść – różnicę dobrobytu.

Dwa przykłady. Każdy obecny w porze obiadowej w niedzielę, w środku dwutygodniowego pobytu, zauważa, że obecna jest jedynie połowa uczestników. Prawie wszyscy Polacy, mało kto z Niemców. Większość Niemców wykorzystała ten dzień na wycieczki w okolice – swymi własnymi autami. Albo: prawie wszyscy Niemcy śpią w jednoosobowych pokojach, prawie wszyscy Polacy w dwójkach, albo nawet trójkach.

Bezmyślność czy nieuwaga? Nie, jedynie wyraz gorzkiej prawdy, że niemieccy nauczyciele zarabiają wielokrotność pensji swych polskich kolegów. Jak sobie z tym poradzić? Mimo wszystkich wymienionych i nie wymienionych problemów pozostaje wspomnienie dwóch z niczym nie porównywalnych tygodni ze wspaniałą mieszkanką spotkań, rozmów, nowych pomysłów, wysiłku i relaksu.

Jedna z wielu drobnych rzeczy, które szczególnie podobają mi się w Polsce: na koniec wspólnego posiłku mówi się „dziękuję“. Dziękuję!

(wrzesień 1999)

Godne polecenia

Zanim znów wciągnie mnie mocniej szkoła wraz z wszelkimi poprawami prac, chciałbym przelać chociażby parę linijek na papier i przekazać je dalej.

Z możliwością wzięcia udziału w VI Projekcie Mazurskim w Nowej Kaletce łączyłem na początku jedynie nadzieje na podciągnięcie mojej znajomości języka. Dzięki kursowi w wyższej szkole VHS miałem po raz pierwszy do czynienia z językiem polskim, co pomogło mi w pracy szkolnej, ponieważ mamy parę uczennic i uczniów mówiących po polsku. Do komunikowania się z naszą szkołą partnerską w Polsce moja znajomość języka i kraju była jednak zbyt ograniczona.

Tak, a potem kurs w Nowej Kaletce. Intensywna lekcja języka w grupie, do tego praca w tandemie – wydawało mi się niemożliwe, że może być coś tak efektywnego i zbliżającego ludzi. Sądzę, że w ciągu tych dwóch tygodni tak wiele się nauczyłem, ile nie nauczyłbym się na kursie VHS chyba nawet w ciągu roku. Moje aktywne słownictwo co najmniej się podwoiło, o ile lepiej teraz rozumiem, trudno mi jest oszacować. Podczas wszystkich wykładów na tematy polityczne i historyczne miałem wielokrotnie wrażenie, że w krótkim czasie (może po dalszych trzech, czterech tygodniach podobnych lekcji) tak wiele zrozumieć bez tłumaczenia, że będę mógł w sposób sen-

sowny brać udział w dyskusjach. Wykłady na drażliwe tematy miały dla mnie nieocenioną wartość. Moje zainteresowanie Polską, które wcześniej nie było małe, zostało znacznie bardziej podsycone.

Atmosfera na kursie była po prostu inspirująca i pomagała w nauce. My – nie tylko mój partner w tandemie i ja – dyskutowaliśmy do późnej nocy na tematy, które poruszone zostały w czasie zajęć, w referatach, w trakcie zwiedzania i w czasie wolnym. Naturalnie wszystko przebiegało z wzajemną korzyścią w intensywnym przechodzeniu z języka na język, czasem z efektem ubocznym w postaci reaktywacji innych języków, przede wszystkim rosyjskiego.

Chcę koniecznie wspomnieć jeszcze, że wyniosłem stąd wiele pomysłów i inspiracji do dalszego rozwijania partnerstwa szkół nie tylko z naszymi polskimi przyjaciółmi. Moje podsumowanie: niezwykły projekt, bardzo efektywny, świetnie zorganizowany kurs językowy – i jeszcze coś dużo więcej niż projekt. Wart polecenia w najwyższym stopniu. Serdecznie dziękuję.

(wrzesień 2000)

Wydawało mi się niemożliwe, że może być coś tak efektywnego i zbliżającego ludzi.



Beata Więclaw
jako szef jury